



CEL NIE TYLKO WYSTAWIENNICZY

Cóż z tego, że najwyższa władza wymyśli nawet najwspanialszy program, skoro pierwszy lepszy powiatowy urzędnik może jej pokazać gest Kozakiewicza? Nie jest to bez znaczenia, jeśli wziąć pod uwagę, że geodezja rządzi obecnie ci, którzy taki gest pokazali poprzedniej ekipie.

JERZY PRZYWARA

• CEL WYSTAWIENNICZY

Niedawno zadzwoniłem do CODGiK-u w Warszawie, żeby dowiedzieć się, czy zwykły obywatel może tam kupić mapę topograficzną. Na przykład taką w skali 1:50 000. Uprzejma pani po drugiej stronie odpowiedziała, że jak najbardziej i że lepiej trafić nie mogłem. Zaraz potem zapytała jednak, do czego jest mi ta mapa potrzebna. Kiedy udałem zdziwienie, wyjaśniła, że co innego kupować ją na użytek prywatny, a co innego na przykład w celu powielania. Powiedziałem, że chcę ją oprawić w wielką ramę i powiesić w pokoju na ścianie. Dodałem jednak, że póki jest na parterze i ludzie idący ulicą zaglądadają przez okno do środka. Uprzejma pani zakomunikowała, że w takim przypadku jest to cel „wystawienniczy”, zatem mapa będzie pięć razy droższa.

Przechodząc do konkretów, wyraziłem zainteresowanie wersją cyfrową, bo muszę mapę wydrukować, żeby była tak duża jak ta rama. I tu pojawił się problem. Otóż do moich „wystawienniczych” celów pani mogła zaoferować jedynie którąś ze 100 sekcji „pięćdziesiątki” zrobionych na zamówienie GUGiK. Pozostałe wykonano na zlecenie polskiej armii, a ta pozwała obecnie cywilom używać map tylko prywatnie. Po sprecyzowaniu, że arkusz ma obejmować rejon Sanoka, okazało się, że miasto nie załapało się do tej setki. By mnie jakoś podnieść na duchu, uprzejma pani zaproponowała kupno mapy papierowej o aktualności sprzed 30 lat, i to w układzie „65”. Wystarczy, że wystąpię o pisemną zgodę głównego geodety kraju. Wtedy dałem sobie spokój.

• KEM, DER I FAKS

W ramach polityki „udostępniania” społeczeństwu geoinformacji niektóre

miasta publikują w internecie pewne elementy katastru i ortofotomapy. Żeby jednak obywatelom nie przewracało się w głowach, mapy te zawierają różnego rodzaju celowe przekłamania i niedokładności, a każde miasto robi je na swoją modłę. I tak, w stolicy straszy napis, że czołówki działek podane są z dokładnością do metra, a współrzędne punktów granicznych są zaszyfrowane. W powiecie warszawskim zachodnim służba geodezyjna podaje z kolei numer działki i nic nie mówiące obywatelowi numery obrębu i KEM. Podstawowej wielkości – powierzchni działki – brakuje, w przeciwieństwie do nachalnych informacji o producencie aplikacji, tak jakby to on zapłacił starostwu za oprogramowanie, a nie odwrotnie. Z kolei w bardzo dobrym białostockim portalu GIS jest prawie wszystko, choć zakłète w obco brzmiące „Object ID”, „Shape’y” itp. i z lekko „oszukanyymi” współrzędnymi. To skutek przepisów, które nie wiadomo, czego w istocie zabraniają, a na co pozwalają urzędnikom.

Wracając do stolicy, urzędowa ortofotomapa ma zamaskowane drzewami to, co bez przeszkód można obejrzeć na światowym serwisie Google Earth (z kolei ortofoto Polski w Geoportalu w „czułych” miejscach świeci białymi plamami). W jeszcze innym mieście administracja geodezyjna uprzejmie informuje obywatela, że „istnieje możliwość przesłania mapy pocztą lub faksem”. Zachowując tę samą retorykę, „możliwość zamówienia towaru przez internet nie istnieje”, tak jak i wysłania tą samą drogą pliku do klienta. I tak to wygląda prawie wszędzie, bo żyjemy jeszcze w epoce ksero, uwierzytelniających je pieczętek oraz geoznaków i nakazów. W cyfrowym średniowieczu. Potwierdzenie tego faktu otrzymujemy w dowolnym ODGiK-u przy próbie opłace-

nia faktury kartą płatniczą. Nie ma na to najmniejszych szans. Nawet w najbardziej zaawansowanym technicznie CODGiK.

• GEONUMERKI

Na poczcie, w bankach i urzędach stosowane jest od pewnego czasu proste rozwiązanie eliminujące awantury przy okienkach. To system numerków połączony z migającymi nad okienkami cyferkami i dzwoneczkami wywołującymi kolejnych klientów. W geodezji zastosował ten patent powiat warszawski zachodni. Do wyboru mamy tam numerki żółte (m.in. wypisy i wyrisy) i niebieskie (odbitki map, obsługa geodetów). Niestety, nie można wybrać czasu oczekiwania na audiencję. A może to trwać godzinę lub dłużej, bo kolejka liczy często kilkanaście osób. Mechanizm odgradzenia urzędników od patentów sprawdził się za to w stu procentach. Efekt uboczny, być może niewidoczny dla pracowników starostwa, jest taki, że przed „erą numerkową” geodezyjni przedsiębiorca załatwiał w tym urzędzie sprawę o wiele szybciej niż obecnie. Byle jaka inwentaryzacja kiedyś zajmowała tydzień, teraz – 4-6 tygodni. Najważniejsze jest jednak to, że petenci nie pałętają się po pokojach i nie marudzą, tylko karnie siedzą przed drzwiami. Jak te numerki.

• O PRZESIAKANIU

W stolicy od lat obowiązuje niepisana zasada, że o 6.30 rano lub wcześniej geodezyjni wyrobnicy ustawiają się w kolejce do ośrodka, by zająć strategiczne kreślarskie pozycje. Codziennie przez świątynię folii i aluminium przewijają się kilkaset osób, a przez kreślarnię – bywa, że i ponad 100. Z coraz większym mozołem przychodzi im jednak umieszczać „geodane” na planszach i foliowych nakładkach. Po pierwsze, coraz trudniej jest zdobyć... tusz trawiący. To produkt znikający w Europie. Po drugie, dawniej zużyte nakładki co dwa, trzy lata wymieniano. Dzisiaj nikt tego nie robi, mimo że niektóre są tak sfatygowane, że niepodobna na nich kreślić, i w ogóle nazywać je



POT/AB

materiałem geodezyjnym. Miast je wymienić, prowadzi się urzędnicze przepychanki, kto i za ile ma to zrobić.

Z drugiej strony „nowoczesność” wychodzi geodetom bokiem, bo wykonanie operatu z cyfrową mapą trwa tydzień-dwa dłużej niż z jej analogową wersją. Znajomy przedsiębiorca, który co miesiąc zostawia w stołecznym ośrodku kilka tysięcy złotych i zna od podszewki „całokształt problematyki” tego miejsca, zadał mi pytanie: kiedy ten cyrk się wreszcie skończy? Inny, który przyjechał gościnnie z Gdańska, aby wykonać większe zlecenie na rzecz miasta, stwierdził bez ogródek, że takiego skansenu to już dawno nie widział. Największe zmiany, jakie ostatnio w nim zaszły, to znaczna podwyżka opłat po likwidacji gospodarstwa pomocniczego i coraz większa „hardość” zatrudnionych w nim niedawno młodych ludzi. Jak zauważył pan Janek, co z niejednego ośrodkowego pieca jadł chleb, „już przesiąknęli”.

● CUDZYMI RĘKAMI

W każdym bez mała ośrodku dokumentacji obowiązują inne formularze do zgłaszania roboty oraz inne warunki techniczne, czyli wymagania. To taka polska specyfika, bo przepisy i instrukcje są identyczne dla wszystkich. Dlatego pewnie w jednym z PODGiK-ów na północy kraju geodeta wykonujący inwen-

taryzację budynku musi sporządzać notatkę służbową z wizji w terenie, a notatka ma być podpisana przez zlecniodawcę prac. Z kolei w innym mieście geodetom nakazuje się dorabianie dzienników pomiarowych (papierowych) do elektronicznego zapisu dokonanego przez tachimetr. Do niedawna z takiego rozwiązania słynęło podwarszawskie Legonowo, w którym trzeba było „dosztukowywać” kąty pomierzone nowoczesnym instrumentem.

Pomysłowość urzędników jest zresztą nieograniczona. W jednym z podwarszawskich powiatów wydanie protokołów ZUD dotyczących projektów na

terenach wiejskich wstrzymywał brak podpisu specjalisty od sieci ciepłowniczych. Jakoś urzędnicy nie zastanawiali się nad tym, że nie ma tam i pewnie nigdy nie będzie sieci centralnego ogrzewania.

Irytację nie tylko geodetów budzi pas 30 metrów, w którym należy uzupełnić brakującą treść mapy. Gdy obejmuje on np. niepomierzone budynki po przeciwnej stronie ulicy niż projektowany przewód, w operatach najczęściej pojawia się notatka, że posesja jest zamknięta. W opinii wykonawców wymóg ten służy naprawianiu tego, czego wcześniej nie dopilnowała służba geodezyjna. Ale szef firmy kładącej kable energetyczne w Sosnowcu zastanawia się głośno: dlaczego muszę płacić za coś, co nie ma związku z moją robotą i czego nie zlecałem geodecie?

● ŁASKA

Według przepisów ODGiK ma 10 dni na poinformowanie wykonawcy zgłaszającego pracę geodezyjną o materiałach, jakimi dysponuje zasób. Bardzo często, zwłaszcza przy niedużych zleceniach, czas oczekiwania skraca się do kilku dni. Ośrodek ma także 6 dni na kontrolę dokumentacji złożonej przez geodetę, a potem 3 dni na jej wydanie. Generalna zasada umożliwiająca w miarę bezkonfliktową współpracę obu stron jest taka, że robotę wykonuje się „pod inspektora”. Inspektor ma bowiem zawsze rację i z poglądem tym

mało kto dyskutuje. Jak wiadomo, operat z błędami lub usterkami wędruje do wykonawcy do poprawy. Gdy go poprawi, dokumentacja wraca do inspektora, który ma znowu 6 dni na kontrolę, oczywiście teoretycznie. Takich iteracji może być kilka, taka jest procedura. Do rzadkości należą jednak przypadki poinformowania geodety przez urząd o tym, że dokumentacja jest do odbioru wcześniej albo że procedura się przedłuża. Termin zakończenia roboty jest bowiem ważny tylko dla przedsiębiorcy.

Ale proza życia to nie tylko 2 tygodnie czekania na odtbitkę mapy, 3 tygodnie oczekiwania na przybycie drogowca na posiedzenie ZUD czy tydzień na otrzymanie wypisu ze skomputeryzowanej ponoć ewidencji gruntów. To także „dzika standaryzacja” wymuszająca na firmach stosowanie oprogramowania, jakim dysponuje urząd, to także procedura, która 5 szkiełców połowych zmienia w kilogramowy operat. To również bazy geodanych zamknięte na cztery spusty czy wreszcie pisanie przez obywatela prośby o wyrażenie zgody na coś, co powinno być psim obowiązkiem urzędu (np. GUGiK). I tak dalej.

● GEST KOZAKIEWICZA

Biurokracja, nonsensowne przepisy i brak zdrowego rozsądku są źródłem tych i setek innych niedorzeczności. Wszystkie, małe i duże, szkodzą wizerunkowi zawodu. Do niektórych przyzwyczailiśmy się już tak bardzo, że traktujemy je jak coś normalnego, naturalnego. Być może dlatego w dyskusji nad geodezją i ewentualnymi zmianami w przepisach zapomina się o paru ważnych sprawach. Między innymi o tym, że funkcjonowanie administracji geodezyjnej przekłada się, jak w rzadko której dziedzinie, na działanie firm, oraz o tym, że sprawą nadrzędną powinien być rozwój przedsiębiorczości, a nie wygoda urzędu czy święty spokój urzędnika.

Mając zaś na uwadze bardzo prawdopodobne sprowadzanie roli geodezji do funkcji rejestru państwowego i postawienie jej w jednym szeregu ze służbami mundurowymi, warto zapytać: co dalej? Czy mamy być identyfikowani z geodezyjną policją czy z geobiznesem, w dobrym znaczeniu tego słowa? Dlatego ważne jest, czy powiatowe lobby, stanowiące naturalne zaplecze GGK, będzie wspierało zmiany legislacyjne proponowane przez środowisko przedsiębiorców geodezyjnych, czy pokaże mu znany wszystkim gest. ■